

## Pierwsza praca zawodowa

Kiedy już formalnie przestałam być studentką, ale nie napisałam jeszcze pracy magisterskiej, podjęłam pierwszą pracę. Zatrudniłam się na trzymiesięczny okres próbny w Archiwum Głównym Akt Dawnych na pół etatu. Było to w styczniu 1963 roku, kiedy akurat nastąpiła niezwykle sroga zima z największymi mrozami, jakie pamiętam – szkoły zamknięto, ale ja już byłam, niestety, dorosła, i do pracy musiałam jeździć bez względu na pogodę.

Dojeżdżałam z Mokotowa na ul. Długą i wysiadałam na ostatnim wtedy przystanku autobusu numer 125, na placu Zamkowym, nieoświetlonym jeszcze odbudowanym Zamkiem. Na dworze panował mróz poniżej 30 stopni, na dodatek lodowaty wiatr od Wisły, łyż zamarzały w oczach, bolał nos, po prostu koszmar. W archiwum też było zimno, bo okna były nieszczelne i słabo grzali. Moja praca polegała na porządkowaniu teczek z aktami poboru do carskiego wojska podczas pierwszej wojny światowej. Może dałoby się i w tym znaleźć coś ciekawego, ale pan Ch. nie pozwalał mi do tych teczek zaglądać, tylko spisywać cyferki z obwoluty. I tak ileś tam godzin dziennie.

*Praca mi się nie podoba. Jest przeraźliwie nudna. Czuję się jak urzędniczyna tonący w papierach kancelarii. Żadnej filozofii, wprost odwrotnie: człowiek głupieje. Bierzesz plik brudnych papierów z 1914 roku i czytasz tytuł po rosyjsku: „O wojennej powinności takowo to a takowo*

grażdanina”. Potem sprawdzasz, czy to jest nr 20, patrzysz do inwentarza, jaki tam jest numer, skreślasz 20, wpisujesz np. 103, i odkładasz. I tak 3,5 godziny. Zwyczajna inwentaryzacja, którą się robi nie dlatego, żeby się czegoś nauczyć, a dlatego że całe sterty tych akt są jeszcze nieoznaczone i trzeba je uporządkować. Pracuję u boku faceta z tytułem doktora, który to robi od 40 lat i wciąż na nowo inwentaryzuje. Co zresztą odcisnęło na nim swój ślad...

– A pani ma jakieś... jak to się nazywa... imię?

– Jak pan sobie życzy, to nawet cztery.

– A jakie, jeśli wolno spytać?

– Pierwsze, Bożena.

– Bożena? Co to za imię? Co z tym robić? Jak to skrócić? Bożenka?

To infantylnie. Bożena? To nieporęczne...

Ale mi się trafił dziadek. A robota beznadziejna. Żadnej ciekawostki, w ogóle omijasz treść, bo tylko tytuły są ci potrzebne. Zresztą ta treść też mnie nie obchodzi – dziś wszystko dotyczy mobilizacji, wczoraj jakieś akta skarbowe, sądowe gubernialne z XIX wieku. Nuda, nuda, drętwość, śpik nieprzeciętny i tęsknota za jakimiś żywymi ludźmi. Archiwum to trupiarnia.

Nie wytrzymałam tej nudy, zwolniłam się przed upływem okresu próbnego. Jeszcze nie umiałam docenić archiwum, za parę lat przyjdzie czas, gdy z zachwytem w tej niedawnej „trupiarni” będę spędzać całe dni, ale już jako użytkownik, no i nie nad wykazem żołnierzy w carskiej armii! A wtedy, po urwaniu się z archiwum, pomknęłam w góry złapać oddech i kończyć pisanie pracy magisterskiej.

## Magisterium

Wybrałam seminarium profesora Janusza Wolińskiego, ponieważ odpowiadało mi jego podejście do historii, nieco inne od innych

wykładowców, bliższe życia i ludzi niż systemów i zagadnień. Profesor uwrażliwiał nas na literaturę piękną, lubił cytować z pamięci jakieś fragmenty poezji. Szczególnie cenił barokową poezję Jana Andrzeja Morsztyna, znał na pamięć jego poemat o bieli, zapewne napisany – jak potem wyszperałam – w hołdzie dla dwórki królowej Ludwiki, Katarzyny Gordonówny, którą następnie poślubił:

*Biały jest polerowny alabastr z Karray,  
Białe mleko przysłane w sitowiu z koszary,  
Biały łabędź i białym okrywa się piórem,  
Biała perła, nie częstym zażywana sznurem,  
Biały śnieg, świeżo spadły, nogą nie deptany,  
Biały kwiat liliowy za świeża zerwany,  
Ale bielsza mej panny pleć twarzy i szyje,  
Niż marmur, mleko, łabędź, perła, śnieg, lilije.*

Oprócz poezji profesor Woliński wrażliwy był na kulturę bycia, zwracał naszą uwagę na zachowanie i dbał o maniery. Na przykład nie wpuszczał nikogo do gabinetu w płaszczu, a kiedy kolega pozwolił sobie wejść do sali na zajęcia z niedopałkiem papierosa w ustach, gniewnie wyrzucił go na stałe z grupy. Zawsze był bardzo uprzejmy, elegancki, schludny, życzliwy i w moich oczach jawił się jako wzór profesora starej daty. Jednak tematy, które mi podsuwał, jakoś mi nie pasowały. W rezultacie cała grupa już podjęła pracę nad rozprawą dyplomową, a ja ciągle wisiałam w powietrzu. Któregoś dnia profesor się zniercierpliwił i zapytał:

– To o czym pani chce pisać?

– O ludziach! – wyrwało mi się spod serca. Bo dotychczasowe propozycje dotyczyły jakichś związków francuskiej siedemnastowiecznej literatury z polityką w twórczości Corneille’a i Racine’a: w ogóle mnie to nie pociągało.

– O jakich ludziach? – spytał zdziwiony. – O mężczyznach, o kobietach?

– O kobietach, bo o mężczyznach wszyscy pisali.

– O jakich kobietach? O Polkach, o cudzoziemkach?

– Może być o cudzoziemkach.

Zastanowił się, spojrzął na asystenta i powiada do niego:

– To może damy pani Francuzki? Mieliśmy w Polsce dwie królowe Francuzki w XVII wieku, niech o nich pisze.

I tak się narodził temat: *Kobiety Francuzki w Polsce w XVII wieku*.

Choć temat brzmiał łatwo, to znalezienie do niego materiału okazało się niezwykle trudne. Przecież nie chodziło tylko o dwie królowe, lecz o żeńską część imigracji francuskiej. Opracowania tego rodzaju nie istniały, temat wymagał wielu miesięcy żmudnej kwerendy źródłowej, podjętej po raz pierwszy w życiu w archiwum.

25 maja 1962 roku

Na zakończenie seminariów magisterskich prof. J. Woliński, żegnając się z nami i życząc powodzenia w pracy, zacytował staropolskie powiedzenie, że każdy żołnierz nosi buławę marszałkowską w tornistrze, a kiedy się na to głośno roześmiałam, zwrócił się w moją stronę i powiedział, że właśnie mnie ma na myśli. I zaproponował mi doktorat. A ja, jak to ja, powiedziałam na to:

– Ależ panie profesorze, ja jestem za głupia na pracę doktorską!

– Nie – odpowiedział – używając pani języka, wcale pani nie jest głupia. Ja mam podstawy, żeby tak mówić. – Po czym dodał, że nikomu z grupy nie mówi czegoś takiego, tylko właśnie mnie. Byłam ogromnie speszona, bo wszyscy tego słuchali i domyślam się, że nie było to dla nich wcale przyjemne. Dodał na końcu, że jestem nadmiernie krytyczna w stosunku do siebie, nazbyt nerwowa, rozproszona i za bardzo się szarpie.

– I najlepiej by było, gdyby się pani starała dojść w czasie wakacji do jakiejś równowagi nerwowej i potem pracowała naukowo, bo się pani do tego nadaje, a tylko wmawia pani sobie, że nie.

Wzięłam się więc do roboty. Na razie do tropienia moich Francuzek.

23 maja 1963

Z rocznym poślizgiem, ale jednak złożyłam pracę magisterską. Zawdzięczam to przede wszystkim siostronom wizytkom, które udostępniły mi swoje archiwum. Tam znalazłam liczną gromadę Francuzek, sprowadzonych do Warszawy przez Ludwikę Marię. Praca oparta na mało znanych źródłach spodobała się, nie kazali nic poprawiać, pochwalili, obiecali, że spróbują fragmenty opublikować. To rzadko się zdarza, żeby praca poszła bez poprawki. A przecież w takim trudzie powstawała! Też męki, trudności w znalezieniu materiałów, znużenia, zwątpienia, nigdy nie zapomnę. Tymczasem podobno jest dobra, ale ja wiem, o ile mogłaby być lepsza, gdyby było o czym pisać.

31 maja 1963

Za trzy tygodnie zdaję dyplom. Mój strach sięga nieba. Dzisiaj przyszła na świat córeczka mego brata, za kilka dni będzie tutaj, a ja zamiast się cieszyć, boję się, że nie dam rady się uczyć przy płaczącym niemowlaczku.

21 czerwca 1963

Zdałam rano egzamin dyplomowy (moja brataniczka, Małgosia, jest ci-chutka!). Profesor mnie przeraził, bo kiedy zaczął się egzamin, ze śmiertelną powagą powiedział: „No, cóż, pani praca sprawiła mi... – Po czym zawiesił głos, a ja zamarłam, czekając na grom, a tymczasem dokończył: – ...dużą przyjemność. Mówię to w imieniu nas wszystkich”. A dziekan, prof. Ludwik Bazylow, dodał, że nawet „o tych pani wizytkach i szarytkach czytałem z wielkim zainteresowaniem”. (No bo to moja królowa sprowadziła do Polski te dwa żeńskie zgromadzenia zakonne).

Potem kazali mi uzasadnić wagę tematu, przedstawić politykę francusko-polską w połowie XVII wieku, a następnie padło wiele dalszych pytań na temat sojuszków politycznych w XVII i XVIII wieku,



*Gotowa pani magister*

*i w jakim sojuszu Polska powinna być? Potem zmienili temat i z polityki przenieśli się na paryskie salony w tym samym okresie i na koniec usłyszałam, że praca na 5 i egzamin na 5, i zostałam panią magister.*

*A kiedy już wychodziłam z sali, prof. Woliński niemal krzyknął: „Pani szkoda do szkolnictwa!”. Tylko że z tej szkody nic nie wynikło. [...]*

*I co ja teraz z tym dyplomem zrobić? Dokąd pójdę pracować?*

Snułam rozważania na temat ewentualnej pracy naukowej. Dostałam dwie propozycje doktoratu, od profesorki prowadzącej zajęcia z metodyki nauczania historii, co mnie nie interesowało, i od mego profesora, co kusilo.

*14 lipca*

*Jak to jest, czy praca naukowa jest naprawdę taka trudna, czy to każdy ma tyle wątpliwości? Czy może ja jestem głupsza i nie umiem patrzeć? Głupsza na pewno od wielu, ale przecież chyba nie od wszystkich naukowców? A może moje wymagania od samej siebie przekraczają moje możliwości, a wyniki są zwyczajne, w normie? Bo im głębiej wdeptuję w historię, tym trudniejsza mi się zdaje. Powikłana, zaplątana, nie do odcyfrowania. Przy najogólniejszym przeglądzie dziejów sprawy wydają się oczywiste, lecz im głębiej – tym więcej wątpliwości i tym ciemniej. Skąd można wiedzieć coś na pewno? Odnajdzie się setny dokument i trzeba zmienić zdanie. [...] Historia mnie przeraża, przytłacza, powoduje zawrót głowy. To są przecież tysiące, tysiące dni życia tysięcy ludzi, toć jednego dnia nie można w pełni uchwycić, a co dopiero całej przeszłości.*

Ale nawet jeśli doktorat, to przecież nie etat, a z czegoś żyć trzeba. Pisałam wtedy:

*Czuję się trochę oszukana. Te wszystkie gadki, zachwyty nad moimi zdolnościami wyrządziły mi krzywdę. Bo spodziewałam się, że jeśli*

zdolny człowiek dobrze kończy studia, to czeka go interesująca praca, która komuś może przynieść pożytek, a jemu – chleb. Tymczasem natykam się wszędzie na mechaniczną pracę biurową – inwentaryzację, sygnowanie, katalogowanie... I tak codziennie, całe życie? [...]

Jest tyle ciekawych rzeczy, a ty, człowieku, pójdziesz do biura i przez 8 godzin zapomnisz, co to życie. A po tych ośmiu godzinach będę zmęczona i klops. Jak to zrobić, żeby się nie poddać kieratowi? Jak uniknąć znudzenia dniami tygodnia, jak zachować w sobie tę chęć patrzenia, odkrywania, wieczną ciekawość?

Tu przypomina mi się skarga młodego Balzaka wyrażona w liście do siostry, kiedy przyszedł pisarz był jeszcze na garnuszkę rodziców, upierając się przy tym, że chce zostać pisarzem, a według rodziny brakło mu zupełnie talentu i znajomi próbowali znaleźć mu jakąś pożyteczną posadę: „Zdaje mi się – pisał do Laury – że pan G. szuka dla mnie po cichu posady: straszny człowiek! Zginąłem, jeśli mnie nakryją tym gasidłem; zostanę koniem w maneżu, który obchodzi swój krąg czterdzieści razy na godzinę, je, pije i śpi o porach oznaczonych z góry. I nazywają życiem to machinalne kręcenie się w kółko, ten wiekuisty kołowrót tych samych rzeczy!”<sup>6</sup>.

I ja wbiłam sobie do głowy pisanie, i już. Całkiem jak Balzak i ten Janos, ludowy rzeźbiarz, góral, który rzeźbił świątki. Zapytany przez dziennikarkę, co by robił, gdyby goście nie kupowali jego świątków? Odpowiedział: „Jest w człowieku siła taka, że musiałby i tak [ciosać – wszystkie przypisy B.F.], ze zycia by dla niego inaczej nie było”.

## Nieudane wakacje

Na razie zagroził mi inny „wiekuisty kołowrót”. Tydzień po moim egzaminie magisterskim Mama złamała fatalnie nogę na stopniu

<sup>6</sup> H. Balzac, *Pisma*, t. 12, przeł. T. Żeleński-Boy, PIW 1958, s. 137–138.



w tramwaju, kiedy wracała z Palmir. Była na grobie Ojca<sup>7</sup> podzielić się radością z mego dyplomu. Ze szpitala przywiozło ją pogotowie z nogą w gipsie, unieruchomioną na całe sześć tygodni. Moje wakacje wzięły w łeb. Trzeba było zająć się chorą, sprzątaniami i gotowaniem, które nigdy nie było moją mocną stroną. W lipcu pisałam:

*Pisywali ludziska kroniki w średniowieczu, a jakże. Pisywali i potem, że lato całe plugawe albo że kłęska głodu czy że mors nigra grasuje. Może i te nędzne kartki będą nosicielkami ważnych dni, bo ciężkie czasy przyszły: w Jugostawii trzęsienie ziemi, u nas upały i potworna susza, a i czarna śmierć na horyzoncie. Liście z drzew spadają, warzywa suche. Każdego dnia na naszym termometrze okiennym w słońcu brakuje podziałki, choć skala termometru sięga do 56 stopni. W cieniu było po 40 stopni, a w pokoju miałam powyżej 30. Jedzenie się psuje.*

*Każdy ruch, a nawet bezruch, i człowiek opływa potem. Ludzie słabną na ulicy, wybuchają pożary. Codziennie parnota zapowiada burzę, codziennie gromadzą się chmury, słońce często zachodzi na czerwono, ale kropla deszczu nie spada. A żeby susza i upały nie były osamotnione w nękaniu umęczonych ludzi, przyszła ospa. Kiedy i skąd – nie wiadomo. Podobno z Indii czy z Indochin. Zaczęło się od województwa wrocławskiego, a teraz jest już i w Warszawie. Prawie wszyscy się szczepią, na razie dobrowolnie. Ja także się zaszczepiłam i czekam na efekt. Jeśli ręka spuchnie, będzie dodatkowy kłopot, bo nie ma wody w kranie. Wisła wyschła, jeszcze tylko 6 stopni brakuje do stanu alarmowego. Przynoszę wodę z kotłowni albo łapię w mieszkaniu, kiedy się pokazuje na parę chwil. Ani gotować, ani zmywać, ani się myć.*

---

<sup>7</sup> Tadeusz Fabiani, prawnik, rozstrzelany w wieku 33 lat w czerwcu 1940 roku.



*Grób Ojca Autorki na cmentarzu w Palmirach*

30 lipca

*Albo to ospa, albo grypa. Jestem rozbita: głowa, oczy, plecy – wszystko boli. Coś z żołądkiem, zaszczepiona ręka puchnie, swędzi, gruczoł powiększony. Ale przynajmniej dziobata nie będę jak siostra naszej Babci.*

4 sierpnia

*Niespodzianie moje piarstwo samo sobie wybrało kierunek: zmieniło się, ni stąd, ni zowąd, w kpinę, groteskę, satyrę. Przybrało formę króciutkich dialogów, czy monologów. A temat podpowiada samo życie. Kilka dni temu kupiłam buciki, następnego dnia je włożyłam i od razu pękły w jednym miejscu przy palcach. Odniosłam do sklepu i pokazuję sprzedawczyni, a ona na to:*

*– Widocznie je pani włożyła.*

*– Jak to? – pytam.*

*– No tak to, wcisnęła je pani na nogi i pękły.*

*– Ale przecież...*

*– Co, ale przecież, co ale przecież? Wyjęła je pani z pudełka?*

*– No wyjęłam.*

*– A jak leżały spokojnie, to pękły?*

*– No nie...*

*– Sama pani widzi. Trzeba je było tam zostawić, a nie rozpychać i potem mieć pretensje...*

*I humoreska gotowa. Ta kpina ogromnie mi odpowiada – mała forma nie wyczerpuje mojej cierpliwości, a umiejętności pisarskich wystarcza na oświetlenie jakiejś sprawy. Ale kusi jeszcze coś innego: opowiadanie, nowela. Kusi też słuchowisko. Byłabym ogromnie szczęśliwa, gdyby udało mi się dostać pracę, w której moje chęci pisarskie znalazłyby ujście. Choćby najskromniej, choćby można było tylko trochę pokpić, np. w radio.*

21 października

*Nadal bez pracy, o posadę nie łatwo. W Archiwum robota by była, ale takiej nie chcę.*